

Mądrość zachwytu zdrowiem LGBT

23 maja 2021

Dyskurs antropologiczny, o zapatrywaniach na człowieczeństwo, jest coraz brutalniej wciskany w marksistowski schemat „walki klas”. Operują nim zacietrizewieni chłopaczkowie z „Wirtualnej Polski”, „Gazety Wyborczej” czy „Onetu”.

Dla większości młodych dziennikarzy LGBT-owska zmiana cywilizacyjna jest nieodwracalna. Pracownicy koncernów za swoją submisję poczytują oswojenie barbarzyńskich konserwatystów z odmiennością seksualną w duchu mądrości etapu lub – jak pisze S. Jastrzębowski – zachwytu. Temu mniej więcej służą powielane z gazetek gejowskich w skali jeden do jednego materiały, których osią nie jest już płeć i rozumność, ale instynkt i bezcelowa zmysłowość.

Młode kadry redakcyjne rekrutowane z akademików, w których płacze się nad niedolą LGBT – ażeby tylko na płaczu nie poprzestać – nie bawią się w półśrodki i jakieś skrupuły i nie popadają w wątpliwości intelektualne. Redaktorzy i redaktorki wymyślają kolejne postaci nierzeczywistej dyskryminacji. Żeby utrzymać przy życiu i zachować pozory prawdziwości rzekomej represji konstruują wciąż od nowa dialektykę klasową. Zapuściła ją w ich wrażliwych młodzieńczych umysłach wykładająca na dziennikarskich wydziałach marksliberalna profesura przylegająca do spółek, dzięki którym początkujący humanitariści znajdują zatrudnienie i pluskają się w medialnym strumyczku.

Przykładem relacji współczucia do retorsji jest hipermoralne oburzenie Michała Wróblewskiego z Wirtualnej Polski, który drży na myśl, że w przestrzeni internetu pada stygmat „pedał”. Idąc tym tropem każda „kurwa” rzucona w kabinie przetrzymywanej w korku polskiej ciężarówki jest świadomie

kierowaną do żon, matek i kochanek agresją a każde „zajebiste” wybrzmiałe na scenie powinno kojarzyć się z kopulacją.

Markowska wizja człowieczeństwa to coś jeszcze niższego, niż funkcjonowanie zwierząt, które obowiązuje zasada przetrwania i przedłużenia gatunku. Zasadę ewolucyjną zastąpiono bliżej nieokreślonym paradygmatem spontaniczności i autentyczności. Chodzi oczywiście o uwolnienie od jakiegokolwiek sensowności, która wiązałyby szczerą spontaniczność.

Miękki „środek” (tzw. news) reedukacji i cywilizowania bije między oczy sprzecznością w tytule: „Homoseksualizm nie jest chorobą od 31 lat”. Nie szkodzi, że jeśli coś nie jest chorobą przez 31 lat, to nigdy nią nie było.

Na zdroworozsądkowej ripocie nie koniec. Zaczynają się schody, w których stronę copywriterzy nawet nie spluną: gender opera magnum wznosi się na piramidzie kłamstw.

Homoseksualni aktywiści – zaopiekowani i pewnie wykreowani przez establishment – robili liczne podchody pod zmianę stanowiska lekarzy psychiatrów, z których część w 1973 r. nie została zaproszona terminowo na decyzyjne posiedzenie swojego gremium. Manipulację wieńczy badanie Evelyn Hooker (1957) – „The adjustment of the male overt homosexual. Journal of Projective Techniques” – oparte na wątpliwej i uznanej za suplementarną metodzie testów projekcyjnych Roshacha. Testy projekcyjne mają to do siebie, że ich wyniki podlegają zmiennej subiektywnej interpretacji, dlatego zostały wykluczone jako pierwszorzędna metoda badawcza. Grupa eksperymentalna Hooker składała się z zaledwie 30 osób, których dobór nie był randomizowany, zatem zminimalizowano wśród nich występowanie objawów charakterystycznych dla homoseksualnej populacji a porównanie musiało wypaść nietrafnie ekologicznie. Odtąd środowiska homoseksualne a za nimi poddane presji i obróbce grupy eksperckie świadczyły posłusznie, że homoseksualiści są tak samo zdrowi jak heteroseksualiści. Narracja ta runęła w odmętach epidemii HIV.

W 2008 roku brytyjski lekarz Michael King dokonał metaanalizy zdrowotnej dla LGBT („A systematic review of mental disorder, suicide, and deliberate self harm in lesbian, gay and bisexual people”), której konkluzje obalały lansowaną tezę o równości kondycji psychofizycznej osób nieheteroseksualnych.

Zaczęto tłumaczyć wszystko w kategoriach dialektyki i determinizmu historycznego. Mniejszości seksualne są na wielu wymiarach zdrowia upośledzone, bowiem są uciskane a walka “klasowa” jest wpisana w ich społeczny genom. Powinny oscylować wokół alternatywnego społeczeństwa wymierzonego w większość. Koncepcja stresu mniejszościowego, bo o nim tu mowa, nie zagościła na długo w nauce. Do łask powrócił Antonovsky i jego wypróbowany kwestionariusz spójności, idealny predyktor zdrowia psychicznego. Co się okazało? Spójność ciała i psychiki gwarantuje pozyskiwanie zasobów zdrowotnych. Wszelkie wysiłki rozluźniające więź płci i ciała utrudniają budowanie jednolitej narracji o sobie i burzą symbiozę z otoczeniem społecznym.

Koncepcja marksistowska nasilała problematykę dostosowania społecznego i czerpania profitów z takiego dostosowania. W miejsce konformizmu płciowego nakazywała kosztowne i kontrproduktywne naginanie większości do oczekiwań mniejszości. Współczesne biopsychospołeczne salutogenetyczne modele zdrowia unikają jak ognia opozycji jednych do drugich, mniejszości do większości, lecz owa polaryzacja rozpostarła się na polu społecznym. Polityka została wprzęgnięta w podzielany przez średnią klasę humanitaryzm marksistowski, którego warunkiem jest pozorne zniesienie barier wewnątrzspołecznych (równość), ale paradoksalnie, poprzez podtrzymywanie napięć między wąsko definiowanymi grupami i klasami.

Wyciskanie łez nad niedolą mniejszości prowadzi do zaakceptowania drastycznego zniesienia naturalnych różnic między ludźmi. Hasła wolnościowe a teoretycznie odnoszą się do równości, która tylko w zradykalizowanej formie daje poczucie

równorzędności. Twierdzi się więc, że różnice międzygatunkowe są naganne, bo prowadzą do nierówności a równość pojmuje się jako identyczność pod każdym względem. Wyjątkiem są najbogatsi, którym przyznaje się prawo do swojej klasy i najwyższych standardów życia w izolacji od napięć społecznych.

Homoseksualizm nigdy nie będzie równorzędny względem heteroseksualizmu, choćby dlatego że egzekwowany konsekwentnie prowadzi do bezpłodności. Pary homoseksualne nie konstruują wspólnej genealogii potomstwa, która jest motorem rozwoju społecznego poprzez ponadprzeciętną inwestycję rodzicielską.

Homoseksualizm społecznie uznany i równouprawniony godzi w porządek społeczny zorientowany na zachowanie ciągłości pokoleniowej, ponieważ na piku polityki społecznej sadowi pokolenia rozdarte genealogicznie i niepewne własnego pochodzenie i tożsamości. Jest to niszczenie podstaw życia społecznego przez znoszenie granic między rodziną genetyczną a zbiorami zadekretowanymi ideologicznie. Takie społeczności w latach 1960. zostały poddane krytyce obserwacyjnej (współuczestniczącej) przez Melforda Spiro w jego pracach antropologicznych o życiu kibucowym (m.in. „Utopia and Its Discontents The Kibbutz and Its Historical Vicissitudes; Kibbutz: Venture in Utopia”).

Artykuły o homoseksualistach oferowane w trybie nakazu i bez głębszej refleksji realizują trzy podstawowe zasady marksistowskiej naukowości. Są to: symplifikacja (uproszczenie), redukcjonizm (pomniejszenie) i racjonalizacja (wyznaczanie niższego od wypracowanego poziomu racjonalności). Naukę w publicystycznej recepcji sprowadza się do narzędzia ideologii, tak jak chcieli marksiści. Współczucie wystające z korzenia marksistowskiego znajduje spełnienie w totalitaryzmie.

Z powyższych powodów wiadomość o nieistnieniu patologii homoseksualnej podawana jako fakt bezdyskusyjny w majestacie autorytetu właścicielskiego redakcji może być postacią

przemocy. Czy możemy jako milcząca większość oczekiwać minimum szacunku dla naszego antropologicznego kręgosłupa, który próbuje się przetrzącić? Preferowanie oficjalnych pogadanek à la Biedroń i prześlizgiwanie się przez tę debatę obraża inteligencję, raczej hamuje nabywanie nowych przekonań i utwierdza w szkodliwych stereotypach.

Dodam, że można być dobrym dla osób ze skłonnościami homoseksualnymi, wspierać takie osoby i empatyzować z nimi bez wciskania kogokolwiek w nową walkę klas.

Autorstwo: Maria233

Źródło: WolneMedia.net